

Staroń, Przemysław S.

Koncert na długopis żelowy : o Łukaszu Siatkowskim

Avant 3/T, 351-355

2012

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Koncert na długopis żelowy. O Łukaszu Siatkowskim

Przemysław S. Staroń

Centrum Rozwoju JUMP,

Zakład Psychologii Wspomagania Rozwoju

Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej w Warszawie, o/Sopot

Na początku Bóg stworzył psychologię.

Psychologia miała mieć moc wyjaśniającą świat. Nie miała. Moment odkrycia tej iluzji skierował moje kroki na kulturoznawstwo. Trzeci rok studiów zapowiadał się zatem ciekawie, o wiele ciekawiej niż poprzedni, bo zaczynałem drugi kierunek. Ponieważ pod koniec września trafiłem do szpitala, inaugurację roku przeżyłem całym swym jestestwem, szczególnie ciałem – gdy moi przyszli koledzy i koleżanki mierzyli siebie wzrokiem i w ciągu pierwszych sekund decydowali, do kogo zaga- dać, ja leżałem wygodnie na stole (?) i mierzyłem wzrokiem przyrząd do USG, który penetrował przestrzeń moich powłok brzusznych.

Przestrzeń, takie ciekawe słowo.

Przybyłem na studia dopiero piątego dnia i musiałem wejść w przestrzeń dla sie- bie nieznaną, całkowicie nieznaną, gdyż sala wykładowa kulturoznawstwa zosta- ła wyrwana piwnicy. Była to przestrzeń nieznaną dla mnie fizycznie – ale także mentalnie. Nie dane mi było bowiem nikogo zawczasu mierzyć wzrokiem, musiałem wejść i znieść spojrzenia nowej grupy społecznej, której właśnie stawałem się częścią. I pamiętam ten moment doskonale, jak spojrzałem od razu na siedzących w pierwszej ławce: wśród nich uśmiechał się taki sympatyczny chłopak, z trochę dziwnie pochyloną głową. Wygłupia się? A nie, przepraszam, tu nastąpił moment zawstydzenia, przecież on jeździ na wózku. Biedny inwalida. Dobrze, że się chociaż uśmiecha.

Miałem ochotę go poznać, porozmawiać z nim, bo sprawiał takie sympatyczne wrażenie. Byłem wtedy dumnym i wiedzącym-absolutnie-wszystko-o-człowieku-i-jego-psychice studentem III roku psychologii, więc w zuchwałości swojej zapewne musiałem pomyśleć, że dla takiego chłopca rozmowa z psychologiem będzie bardzo przydatna.

Minęło kilka dni. Szedłem właśnie na jakieś zajęcia, gdy nagle Łukasz – bo tak było na imię temu biednemu-chłopcu-na-wózku – zapytał mnie, czy mi pasuje spotkanie jutro. Ja na to, że tak, oczywiście. Nie wiedziałem, o co chodzi, ale wystrzeliłem jak z procy z tą odpowiedzią – nie rozumiałem zupełnie pytania, odpowiedzi, ani tego, dlaczego pytanie wydało mi się zupełnie naturalne. Potem się okazało, że Łukasz, introwertyk z natury i ekstrawertyk z wyboru, poprosił kogoś o namiar na mnie, po czym wysłał SMS, ale zrobił błąd w zapisie numeru. Nie dostał odpowiedzi, upewnił się, a ja na to – ależ oczywiście.

Gdy szedłem do niego do domu, zastanawiałem się, co mam mu powiedzieć, o czym rozmawiać... *Ej, ale pytać go o ten wózek? Może nie wypada...* Gdy jego mama otworzyła mi drzwi, akurat wychodził ich sąsiad, który spojrzął na Łukasza i zawołał:

– No to siema, Nózka!

Kiedy uświadomiłem sobie syntaktykę, semantykę i pragmatykę jego wypowiedzi, uznałem, że cała kategoria ułożona grzecznie i na zawsze w mojej głowie pod tytułem: „LUDZIE NIEPEŁNOSPRAWNI” rozsypała się niczym ona.

Przez następne kilka miesięcy poznawałem człowieka, który łamał wszelkie możliwe stereotypy o ludziach niepełnosprawnych. Odwiedzałem Łukasza, rozmawiając o życiu i absurdzie, tylko akurat z Nózką absurd życia kończył się śmiechem, głośnym, tubalnym, połączonym z udawaniem przez Łukasza człowieka-roślinki.

Chodziłem (jeździłem?) z nim na egzaminy, wcześniej wspólnie nadając koniecznej do przyswojenia wiedzy nowe aspekty. Platon stawał się dzięki temu bardziej realny, mity greckie jeszcze bardziej komiczne, a łacińskie paremie zyskiwały nowe znaczenia. Historia filozofii była śpiewana na melodię *Litanii loretańskiej*, korzenie judaizmu przyprawiały o ból brzucha i przepony naraz, a wykładowcy mieli problem, gdy nie wiedzieli, jak nas zagiąć. Na egzaminie z kultury antycznej padło pytanie o syna Peleusa i Tetydy – Łukasz nie wiedział, że to Achilles, więc dyskretnie poklepałem się po stopie, na co ksiądz profesor Eckmann rzekł: nie podpowiadać.

Ale to, co mnie w znajomości z Łukaszem urzekało najbardziej, nie wiązało się z łamaniem stereotypów, humorem ani nawet filozofią starożytną. Otóż w pewnym momencie odkryłem, że Łukasz jest artystą. Nie takim współczesnym, wszak od Duchampa artystą może być każdy. Łukasz to człowiek renesansu. Muzyk. Grafik. Poeta. A do tego filozof.

Już podczas jednego z pierwszych spotkań zauważyłem na ścianach w jego pokoju przedziwne grafiki. Przedziwnie interesujące. Zastanawiałem się, skąd wziął takie prace. Przeżyłem szok, gdy dowiedziałem się, że to on jest ich autorem. Jak osoba niepełnosprawna mogłaby coś takiego stworzyć? Te grafiki wymagają – widać to było od razu – misternego nanoszenia na papier małych ornamentów, tworzenia linii, zamalowywania, dobrej ręki w tworzeniu kreski, na pewno specjalistycznego sprzętu. Cierpliwości. A przede wszystkim – trudno to nazwać – niebicia niepełnosprawnym. Łukasz uśmiechał się, gdy patrzył na moją minę. Patrzyłem na jego ręce. Wykrzywione, a jednak. Od tego momentu trudniej jest mi narzekać, gdy nie mogę otworzyć piwa piwem.

Jego prace fascynowały mnie – zainteresowanie mieszało się z niepokojem. Niepokoiła mnie przestrzeń. Niby płaska, a jednak otwarcie kompozycji i nagromadzenie tych wszystkich drobinek (*horror vacui*, rzekłbym moim maturzystom) potęgowało doznanie głębi. I to wszystko, jak się okazało, za pomocą żelpena.

Chciałem wiedzieć o tych pracach wszystko. Przede wszystkim – czy mają tytuły. Tytuły czasami uspokajają wzburzoną obrazem rzeczywistość dzieła. Jak się okazało, prace nie były zatytułowane. Uderzyła mnie natomiast nazwa jego techniki graficznej: karambolizacja przestrzeni. Karambolizacja. Czy ja coś wspominałem o uspokajaniu?

Od razu zacząłem domagać się wyjaśnień.

Czy Ty niszczysz przestrzeń? – Nie, Przemku. Ja ją przekształcam.

No tak. Od razu przypomniałem sobie Platona.

Jak Demiurg, prawda? Dokładnie. On geometryzuje świat. A ja – kartkę A4. Wydobywam treść z formy. Zderzam rzeczywistość z wyobraźnią.

To wszystko pozwoliło mi zrozumieć wykłady z nie-pamiętam-jakiego-przedmiotu, na których dowiedziałem się różnych mądrych rzeczy dotyczących wpływu trudnych doświadczeń na życie. Łukasz z powodu swojej niepełnosprawności nie mógł doświadczać przestrzeni tak jak ja. A zatem postanowił doświadczać jej inaczej.

Jego życie i twórczość tak mnie zainspirowały, że postanowiłem pokazać karambolizację przestrzeni światu. Zabierałem jego prace na międzynarodowe konferencje arteterapii. Na jednej z nich, wśród zachwyty odbiorców, usłyszałem od pewnej pani pytanie: *Czemu na tych pracach jest tak naciумkane?* Kiedy opowiedziałem o sytuacji Łukasza, zapytała: *I co, on siedzi na tym wózku i tak ciумka?*

Wraz z Sekcją Arteterapii KUL organizowałem warsztaty karambolizacji, w ramach których każdy brał do ręki żelpen i karambolizował przestrzeń – według uznania, jakkolwiek chciał. Po dziś dzień imponuje mi w Łukaszu to, że on jest artystą niezwykłym, ale nie zamkniętym; nie jest elitarny w źle pojęty sposób. Potrafi powiedzieć do zgromadzonego tłumu przybyłego na warsztaty: *Karambolizujcie i wy; nieważna jest forma. Dajcie się ponieść wyobraźni, róbcie to według emocji, które w was są*. Czyli nie dość, że pozwala korzystać z opracowanej przez siebie techniki graficznej, to jeszcze zachęca do jej dowolnej modyfikacji.

Pierwsze warsztaty zorganizowaliśmy w 2007 roku; odbywają się one regularnie do dziś. I co bardzo ważne, zawsze towarzyszy im muzyka. Muzyka absolutnie klimatyczna, na pewno instrumentalna, która nie da zaklasyfikować się do żadnej kategorii; muzyka równie niezwykła jak Łukasz, bo stworzona przez niego i jego zespół: Strefę Pracy Żurawia (w którym jest kompozytorem i muzykiem). Strefa grała w wielu miejscach Lublina. Niejednokrotnie w podziemiach knajp Starego Miasta – wtedy też ja albo moja siostra, Marta Staroń-Młot, recytowaliśmy Łukaszone wiersze. Wiersze paradoksalne, w których poetyka doznań metafizycznych mieszała się z estetyką biologii życia. Muzyka, poezja – jak niewiele brakowało, by poczuć w powietrzu woń starożytnych winnic, wiatr znad Morza Śródziemnego i przechowane w zakurzonym archetypie wspomnienie trójjednej chorei... A może niczego nie brakowało, może czuliśmy to wszystko, nie wiedząc o tym; odpływając w przedziwne przestrzenie, czując *chillout*, choć nikt wtedy jeszcze nie umiałby użyć tego określenia na oddanie stanu, który nas ogarniał. Myślę, że Łukasz jest niezwykle rozsądny, twierdząc, że lubi, gdy ludzie śpią na jego koncertach. Można bowiem spać z nudów, ze zmęczenia, ale i z błogości. Ten trzeci powód jest znany miłośnikom marihuany i nikt nie ma jej tego za złe. Koncertom Łukasza – również. Wiem, co piszę, gdyż sam kiedyś, siedząc w pierwszym rzędzie Auli im. kard. S. Wyszyńskiego, zasnąłem wśród dźwięków Strefy. Łukasz wtedy się ucieszył. I nie pozwolił się przeproszyć. Był wniebowzięty.

Porównywanie koncertów Łukasza do marihuany uświadamia mi, że najwyższy czas kończyć. Ale takie porównywanie w kontekście Nózki nie jest niczym dziwnym. Cały czas mamy w planach utworzenie Katedry Absurdu...

Jednak kończenie pisania o Łukaszu nie jest łatwe, bo mógłbym pisać o nim, o karambolizacji i o muzyce Strefy godzinami. Ale po co pisać, skoro można doznawać. Zaraz włączę jego utwory i wejdę w galerię jego prac, i w tym wszystkim poszukam przestrzeni dawnych, minionych, azjatyckich (Lublin jest wszak najdalej na zachód wysuniętym miastem Azji – sądzę, że nie trzeba tego tłumaczyć). Odnajdę tam woń kadzidła i cynamonu, spojrzę na Mezopotamię, wiatr Orientu.

Może coś jeszcze. Może znów przypomnę sobie słowa Dezyderaty: *Z całym swym zakłamaniem, znojem i rozwianymi marzeniami ciągle jeszcze ten świat jest piękny.* Bo przecież wózek to są rozwiane marzenia. Ale właśnie te rozwiane marzenia mogą stać się pomostem do Piękna. A jeśli ufać Platonowi, wózek przemienie, a ono będzie trwać.

Wózek. Można sięć i płakać. Przepraszam, już się siedzi. Można zatem dołączyć łyż. Można, ale można też karambolizować. Można znaleźć swój sposób na życie. Najlepiej oddają to słowa Łukasza z jego *Przyczynku do manifestu*:

Odrzućmy zbiorowe poklepywanie się po plecach. Pełne ono litościwych uwag, empatii... Do niczego raczej dobrego nie prowadzi. Przyzwyczajamy ludzi tylko do tych granic. Potem buduje się podjazdy po schodach dla nikogo, bo nikt nas nie poznał, nie poznał potrzeb, nie zobaczył tego naszymi oczami. Jeśli chcemy, by nas zrozumiano, dajmy im nasze oczy.

(...)

Nie wywyższajmy się swoją „niepełnosprawnością”. Nie bądźmy nieznosni. Porzućmy raz na zawsze, że nam się coś należy z góry. Sami musimy traktować ich z delikatnością, ciepłem przełamujemy dystans, rozmawiajmy o potrzebach, SŁUCHAJMY... niech nasze słowa zawsze będą żywymi świadkami ludzkiej natury¹.

Z zajęć z psychologii rehabilitacji miałem 5. Wykułem na egzamin niewyobrażalną ilość materiału (choć nie więcej niż na historię sztuki). Myślę jednak, że gdybym nie poznał Łukasza, nie wiedziałbym nic. I dodam jeszcze, że jeżeli go kiedyś spotkacie, nie poklepujcie go po plecach. Pogadajcie z nim o życiu. O świecie. O paleniu papierosów. O zmienianiu co drugi dzień statusu związku na Facebooku.

Tylko proszę o jedno. Nie zachowujcie się jak ta lubelska, na pewno bardzo empatyczna, babcia, która spotkała Łukasza na ulicy, ze współczuciem na niego spojrziała i powiedziała: *Ojej, biedne dziecko, może chcesz pogłaskać pieska?*

1 Z archiwum Łukasza Siatkowskiego.